

Z E Z N A N I E

negrane dnia 15 marca 1969 roku w Kfar Chasidim

Zeznaje: A B R A H A M B O R G E R urodzony dnia 3.6.1912r.
w Zembrzycach, powiat Wadowice, wojew. Krakowskie
Zawód: kupiec Zam: Haifa ul. Hilel 52

Zeznanie składa: Ida Olikstejn-Jarkoni

Krótki biografia świadka

Nazywam się Abraham Borger, urodzony w Zembrzycach dnia 3-go czerwca 1912-go roku. Rodzice: Lipman i Rozalia z Goldbergerów. Rodzeństwo: siostra młodsza wyślę za mąż za Izaka Goldbergera, nazywała się Salomeg. Oni mieli dwie córki: Iole i Golda. Brat nazywał się Bernard Borger. Druga siostra nazywała się Golda. Ona jedna została przy życiu. Ja byłem najstarszy z rodzeństwa. W chwili wybuchu drugiej wojny światowej mieszkałem we wiosce obok Zembrzyc. To była Tarnawa Dolna, nad rzeką Skawą. Zembrzyce podczas okupacji niemieckiej należały do Generalnego Gubernatorstwa, a Tarnawa Dolna do "Reichu". Byłem wtedy współnikiem i kierownikiem firmy eksportowej, która należała do mojego szwagra, Izaka Goldbergera. Eksportowaliśmy na całą Europę krzesła składane i meble ogrodowe.

Praca przymusowa dla Niemców. Wycieczka do obozu w Pustkowie

Tarnawa Dolna została zajęta przez Niemców dnia 5-go września 39. Po utworzeniu granicy między Gubernatorstwem, a Reichem na rzece Skawa, przeniosłem się do Zembrzyc, do rodziców, którzy tam wtedy mieszkali. W Zembrzycach byłem do dnia 21-go kwietnia 1941-go roku. Przez cały ten okres byłem zatrudniony przez placówkę niemiecką do różnych robót, tak - jak wszyscy inni Żydzi, zamieszkali w tej miejscowości.

W kwietniu 1941-go roku powołano nas wszystkich do rejestracji

do miejscowości, zwanej Kalwaria Zebrzydowska, która była odległa o 16 km. od Zembrzyc.

Na tej rejestracji Niemcy zabrali wszystkich, których uważali za zdolnych do pracy, załadowali do wagonów i wysłali do karnego obozu pracy w Pustkowie.

W tym czasie, kiedy nas, młodych zabrano do pracy - to rodzice nasi, starsza generacja, która została w Zembrzycach, została wysiedlona. Mieli prawo jechać do którego ghetta chcieli.

Moji rodzice postanowili pojechać do Mazany Dolnej, ponieważ ojciec miał tam szwagra i tam mogli znaleźć jakieś lokum. Ghetto nie było jeszcze tam zamknięte, nie było takiej ciasnoty i można było sobie jeszcze znaleźć miejsce. Inni udali się do innych swoich znajomych i krewnych w różnych miasteczkach.

Ja zostałem zabrany do obozu karnego w Pustkowie i tam byłem od dnia 21-go kwietnia do wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej.

Ucieczka z obozu pracy w Pustkowie

W Pustkowie ludzie ginęli masami. Byli rostrzelani i ginęli też z chorób i wycieńczenia. Ten obóz liczył około 1500 osób, samych mężczyzn, kobiet nie było. Byli tam Żydzi z całej okolicy, z krakowskiego województwa, nawet przywieziono pewną część z Warszawy. W Pustkowie spotkałem znajomego szofera, Polaka, który też pracował przy budowach, ale jako najemny robotnik, nie więzień.

Wszedłem z nim w kontakt i przy jego i mojej pomocy udało się kilku moim kolegom uciec. Ustawiłem im ucieczkę.

Ucieczka była w ten sposób zorganizowana: ponieważ majster, Niemiec miał pewne zaufanie do mnie - polecał mi zawsze zabrać trzech, czy czterech chłopców, gdy wyjeżdżaliśmy pod "wachną", by ładować piek do budowy. Który z chłopców miał zamiar uciec, zwracał się do mnie. Czekał następnie na zakręcie, gdzie nie mógł być widziany przez "wachną", wsiadał na auto, na którym myśmy siedzieli i tak

ruszaliśmy poza "wachę", a tam szofer dostawał swoje parę złotych, udawał, że śpi - i ten sobie poszedł. Wówczas były jeszcze możliwe te ucieczki.

Z chwilą, gdy wybuchła wojna niemiecko-rosyjska, zrobiło się bardzo ostro, ponieważ byliśmy pod większą eskortą i pod ścisłym nadzorem. Oczywiście wielu moich znajomych tam dziwiło się, dlaczego ja sam nie uciekłem. Innym pomagałem, a sam pozostałem.

Ja odpowiadałem zawsze, że, jeżeli będzie mi przeznaczone żyć - to jakoś sobie dam radę.

I jednego dnia postanowiłem, że albo mnie w ten dzień coś spotka, albo mi się uda uciec.

Dokładnie daty sobie nie przypominam, czy to było 30-go czerwca, czy 1-go lipca. Pamiętam, że to była niedziela. Pół do trzeciej popołudniu uciekłem pod obstrzałem SSmanów. Mimo to uciekłem i leciałem tak dalece, aż dopadłem do rzeki Wisłoka, która przepływa koło Radomyśla Wielkiego. Tam spotkałem jednego chłopca, którego poprosiłem, żeby mi pomógł. On tak dalece mi pomógł, że przeniósł mnie na plecach przez rzekę Wisłokę i pokazał mi drogę do Radomyśla Wielkiego, gdzie był jeden mój kolega, który za moim pośrednictwem uciekł z Puatkowa. Do niego się też zwróciłem i tam przenocowałem jedną noc. Następnie pieszo przez Tarnów, Gdów i inne miejscowości dotarłem do Mszany Dolnej, gdzie moi rodzice się znajdowali.

Praca w charakterze "Lumpensammler"

Przybyłem do Mszany Dolnej, do rodziców. Nie mogłem się tam zameldować jako Abraham Berger w obawie, żeby mnie nie szukano, więc zmieniłem imię na polakobrzmiące - Roman - , jak również datę urodzenia z 3-go czerwca na 13-go czerwca.

Przy pewnej znajomości, ponieważ wtedy jeszcze nie było tak trudno o uzyskanie karty meldunkowej - pozostałem w Mszanie.

Rodzicom moim, jak i wszystkim Żydom w Mszanie Dolnej bardzo źle się powodziło. Ponieważ miałem duże kontakty między Polakami - starałem się o jakiegoś źródła zarobkowe. Wszystkie źródła zarobkowe zostały

oczywiście karą śmierci, ale udało mi się przez jednego znajomego Żyda z Nowego Sącza, nazwiskiem Fink, który miał jakieś chody u Niemców, załatwić kartę "Lumpensammler" czyli zbieracz szmut, ponieważ to Niemcy do pewnego czasu potrzebowali. ^{zaświadczenie} Mając takie zameldowanie - mogłem się poruszać kolejami nawet do samego Krakowa.

Wobec tego jeździłem do mojej rodziny, miałem też moich znajomych i handlowałem. Oczywiście to wszystko nielegalnie.

Dosyć mi się szczęściło i nawet był fakt, że Polacy mi przewozili rzeczy, zostali badani przez Gestapo i Gestapo było u mnie w domu i jakoś mi to uszło bezkarnie.

Opis życia w Mszanie Dolnej

P: Ilu było wtedy Żydów w Mszanie Dolnej?

O: Po wysiedleniach z okolicznych miejscowości, jak z Dobrej i z Rabki był duży napływ Żydów - nawet z Krakowa i z Nowego Targu. Były tam nawet kobiety same, wysiedlone z Łodzi. Ogółem było wtedy w Mszanie Dolnej około 1000 Żydów, jeśli ilu natomiast było przed wojną - nie mam pojęcia.

W Mszanie ghetto było otwarte, był tylko zakaz poruszania się po niektórych ulicach.

Cała młodzież była zatrudniona przy różnych pracach w kamieniołomach i na drogach. Byli szykanowani itd. Nawet dzieci ośmioletnie już musiały pracować. W lesie wybierali chwasty ze zboża. Wyśłało się, że tym samym będą uratowane. Nie opowiadam o różnych szykanach, ponieważ to jest wiadome z innych opowiadań naszych współziomków, którzy przeżyli.

Szefem Gestapo na Mszanę Dolną był szef Gestapo z Nowego Sącza - Heinrich Haman, co do którego note bene byłem przesłuchiwany tutaj w sądzie. Otrzymał dożywocie.

Pierwsza akcja w Mszanie Dolnej była 20-go kwietnia 1942-go roku, w dzień urodzin Hitlera.

Akcja ta była przeprowadzona w różnych miejscowościach, w Nowym Sączu, w Limanowej. W Mszanie Dolnej zostało postawionych pod ścianę 10 osób, w tym i dziewczęta i chłopcy. Spod ściany tej uciekł niejski Chaim Landau, oraz dwaj inni. Po trzech dniach ich schwatali hitlerowcy. Jeden z nich został prawie żywcem pogrzebany. Był to szesnastoletni chłopiec, nazwiskiem Weber, syn rabina. Własny jego ojciec musiał go pogrzebać, bo był wśród tych, którzy kopali groby. Chłopiec krzychał: "Tate, ich lejbn". Był tylko postrzelony w nogę.

Nie byłem osobistym świadkiem tego zdarzenia, kuzyn mój, który był przy grzebaniu - opowiedział mi to.

W Mszanie Dolnej były rozmaite szykany ze strony gestapowców, były też pojedyncze rostrzeliwania, nawet w 41-ym roku.

Ogólna, likwidacyjna akcja nastąpiła w 42-m roku. 19-go sierpnia zgromadzono wszystkich Żydów na pewnym placu. Z tej całej ludności wybrano sto i kilka osób do pracy, prócz tego 10 osób do sprzątnięcia rzeczy po zamordowanych, jak się później okazało.

Miedzy tymi dziesięcioma byłem również ja. Reszta została rostrzelana i pogrzebana w Mszanie Dolnej.

Rostrzelanych zostało 881 osoba. Po wojnie zbudowaliśmy pomnik na tym grobie dla upamiętnienia tych ludzi. W między czasie został ten pomnik uszkodzony, ale przed trzema laty został odbudowany przez mojego kolegę, który był w Polsce.

Ucieczka po likwidacji ghetta w Mszanie Dolnej

Nas pozostało 16-u Żydów z całej ludności. Sprzątaliśmy rzeczy po zamordowanych. Los tak chciał, że rzeczy po moich rodzicach i po moim bracie, który również tam zginął - musiałem mieć w mojej ręce. Miałem jednego kolegę i mówiłem z nim, że nas czeka ten sam los. Musimy się ratować przez ucieczkę. Oczywiście zostali w ten plan i pozostali koledzy, aby każdy się ratował, jak mógł i chciał.

Jednego tylko nie wtajemniczyliśmy, ponieważ, jak nam było wiadomo, on był trochę donosicielem (potwierdzenia na to nie było).
Ponieważ stale musiał ktoś być na warcie przy magazynie tych rzeczy - to w tę noc, w którą postanowiliśmy uciec, jego zostawiliśmy na warcie. Dziewięciu nas uciekło.

Między nimi był też mój kuzyn, który uciekł niedaleko, do swojego znajomego chłopca, ale ten go nie chciał trzymać i on nie miał innej rady, musiał wrócić spowrotem, nazywał się Józef Goldberger. Jak mnie jest wiadome - to ukrywał się w okolicy Tarnowa w 43-m roku, a może w 44-m, dalej słuch o nim zaginął.

Z tych dziewięciu mnie jest wiadomym tylko o jednym - to jest ten kolega mój, z którym ja uciekłem. Żyje obecnie w Niemczech.

Powrót do ghetta z braku miejsca schronienia

Uciekając szliśmy do mojej miejscowości rodzinnej, ponieważ ta okolice i te lasy były mi znane od dziecka. Znałem tam każdy kąt i każdy chłop mnie znał, tak, że miałem nadzieję, że się gdzieś zaczepię. Oczywiście po drodze byliśmy szantażowani, ale jakoś to się ułożyło. Przebywaliśmy w lesie około 10 dni i nie mając innej rady - postanowiliśmy wrócić na skraj, która miała się odbyć w Makowie Podhalańskim.

Po drodze spotkałem znów jednego chłopca, który podał mi myśl o ratunku przez zwrócenie się do jednego znajomego.

W nocy zwróciliśmy się do tego znajomego i ten de facto nam pomógł przechowywać się przez jakiś czas u innego chłopca na strychu.

Mój znajomy mieszkał we wiosce Budzów, a chłop, u którego byliśmy na strychu - we wiosce Marcówka.

Widzieliśmy jednak, że to nie może nam dać ratunku na dłuższą metę. Wiedziałem, że moja zamężna siostra ze szwagrem mieszkają w ghecie, w Wadowicach. Liczyłem się z tym i przemyślałem nad tym w jaki sposób się do nich dostać.

7
Była przecież granica między Reichem, a Generalnym Gubernatorstwem, a oprócz tego - w promieniu 60 km. byłem tam każdemu dziecku znany i nie mogłem się pokazać.

Jeden z Chasidei Umoth Haslam

W
W czasie okupacji przybył do mojej miejscowości rodzinnej, do Zembrzyce pewien policjant polski, nazwiskiem Mazur. Pochodził z miasta Łodzi. Nasza znajomość, gdy byłem jeszcze w Zembrzycach, nawiązała się w dziwnych okolicznościach.

Pewnego dnia zagadnął mnie, że ma do sprzedania dolary. Za to była oczywiście kara śmierci za Niemców.

Ja nie wiedziałem, czy on to myśli poważnie, czy on mnie chce nabrać. On był u nas nowy. Ja wziąłem się na odwagę i powiedziałem: "Dobrze!" "Pojadę do Krakowa - to Ci to załatwię". Tak się nasza znajomość zaczęła. Okazało się, że był to człowiek, który dla mnie bardzo dużo zrobił. W tym czasie, kiedy miałem przepustkę jako Lumpensammler, z nim handlowałem. Prócz tego on mi woził rzeczy. ~~On mi przywoził, odwoził stencjas.~~ Kiedy byłem schowany u chłopca na strychu, postanowiłem się do niego zwrócić o ratunek.

Napisałem mu list, w nocy poszedłem na wioskę i nadałem na pocztę, że czekam w lesie tam i tam, żeby przyszedł, że chcę z nim porozmawiać. I ten człowiek naprawdę się zjawił.

Przedstawiłem mu mój plan, aby mi pomógł dostać się do ghetta, do Wadowic, do mojej siostry. Oczywiście zaznaczyłem, że nie jestem sam, że jestem jeszcze z kolegą.

Na to odpowiedział mi, że on nie może się w tej chwili zdecydować, pomyśli w domu i na drugą noc mamy się spotkać tam, a tam.

Na drugą noc - tak, jak było umówione, zabrałem z tej kryjówki kolegę i stawiliśmy się na miejscu, gdzieśmy się umówili z tym policjantem. On przyszedł z karabinem i powiedział, że ma jeden jedyny plan. Skuje nas kajdanami i przez granicę nas przeprowadzi jako dwóch bandytów, których schwytano i których on prowadzi do więzienia w

Wadowicach.

Oczywiście z miejscaśmy postanowili. W ten sposób przeszliśmy do stacji kolejowej Sucha i pojechaliśmy do Wadowia.

W Wadowicach tak samo nas prowadził z dworca kolejowego aż doszliśmy do ghetta. Wówczas zdjął z nas kajdanki i myśmy wbiegli do ghetta. Po wojnie spotkałem Mazura. Oczywiście bardzo mu podziękowałem. Ten człowiek nie wziął u mnie najmniejszego wynagrodzenia. Opowiadał nam, że był w partyzantce - to znaczy - był w policji i pracował dla partyzantów. Dlatego to zrobił i był przygotowany na to, że gdyby nas schwytali - to byłby położył tego, któryby schwycił i siebie. Był zdecydowany na to.

Szkoda, że tacy ludzie nie żyją. Jego żona mi doniosła, że zmarł przed kilku laty. Był to jeszcze młody człowiek.

W ghetcie Wadowie. Gorliwość Judenratu uniemożliwia ucieczkę.

Zanim postanowiłem się dostać do ghetta Wadowie, nawiązałem kontakt z moim szwagrem, czy jest możliwość, żebym mógł tam zostać, względnie się zameldować. Wszystko było ograniczone.

Szwagier z całym zaufaniem zwrócił się do przewodniczącego Judenratu, nazwiskiem Wolf (jeżeli się nie mylę), który wszystko mu obiecał. Z chwilą, gdyśmy się znaleźli w ghetcie, zaczęliśmy radzić, w jaki sposób się dalej ratować.

I znów muszę podkreślić, że miałem duże znajomości. Zwróciłem się do jednego kolegi, który pracował w okolicy Żywca. To był Żyd. On pracował w t. zw. "Bautruppe" Seibusch, gdzie prowadził porucznik Długosz, SSman, ale człowiek, który ratował Żydów.

Mnie było wiadomo, że jeżeli się tam dostanę - to będę mógł dalej operować, aby móc ratować siostrę, szwagra, ich dzieci oraz drugą siostrę, która jeszcze była panną.

Znajomy mój przyjechał do Wadowie, do ghetta i omówiliśmy z nim całą sprawę. Było postanowione, że ten porucznik Długosz przyjedzie i zabierze nas jako fachowców.

Nie wiem, w jaki sposób Judenrat się dowiedział o tym i w tym dniu, w którym Długosz miał przyjechać, przyszła policja żydowska, nas zabrala i wysłała do Sosnowca, do "Dulagu".

Mimo, że ten porucznik później przyjechał i się swanturował, że on nas potrzebuje, gdzie my jesteśmy - już było zapóźno.

Wysłano nas ze dwóch innych Żydów, którzy mieli iść. Możliwe, że to było naszym szczęściem. Nieszczęście tylko było to, że, będąc w tej grupie Seibusch, jestem pewny, że byłbym uratował moją rodzinę. Tak - to już miałem ręce związane. Było to w 42-m roku, gdzieś w listopadzie.

W obozach: Prawde i Sagan

Ze sosnowca, z "Dulagu" zabrano nas do "Zwangsarbeitslager" Prawde. Był to obóz pracy, ale był to też obóz, gdzie więźniów sortowano i rozsyłano do różnych, innych mniejszych obozów.

Tam przebywaliśmy - podkreślam - przybywaliśmy, bo wszędzie byłem z tym kolegą - gdzieś do połowy grudnia.

Następnie zostaliśmy z grupą 40-u osób wysłani do "Zwangsarbeitslager" w Sagan, czyli obecnie Zagan. To wszystko jest na Dolnym Śląsku.

W Zeganiu, czyli w Sagan przebywałem od grudnia 42-go roku - gdzieś do 13-go marca w 44-m roku.

Warunki niema co opisywać, bo każdemu jest wiadomo: bicie, praca i bez jedzenia - to były wszędzie jedne i te same warunki.

Maltretowanie ludzi - to już jest tak znane, że.....czy jeden był więcej bity, czy mniej....

Prace wszędzie były podobne, czy "Bauarbeiten", czy schrony itd.

W Sagan pracowaliśmy przy budowie torów kolejowych, budowali domy, różne prace przy drogach. Tam nie nosiliśmy pasiaków, były jeszcze cywilne ubrania. Włosy były strzyżone - był pas przez środek głowy wystrzyżony i nosiliśmy "gwizdy".

W tym obozie Sagen - kolega mój, o którym podkreśliłem, że byliśmy zawsze razem, zachorował i został odtransportowany do Oświęcimia. Przetrzymał Oświęcim, przeżył i żyje obecnie w Niemczech. Po okupacji, gdyśmy się spotkali - to opowiedział, że Oświęcim to był sanatorium wobec tego, co było w Żeganiu. W Oświęcimiu gazowano, ale ci, co pracowali - to mieli znośne wyżywienie - znośniejsze, jak my w Żeganiu.

W obozach: Kittlitzsteben i Bunsau

13-go marca 44-go roku został obóz w Żeganiu zlikwidowany i wszystko zostało podporządkowane pod "Konzentrationslager" i zostało przewieszone do Kittlitzsteben. To wszystko należało do Grossrosen ale to były mniejsze oddziały - wszystko to jest Dolny Śląsk.

W Kittlitzsteben - tak samo nie trzeba podkreślać, co za praca i bicie itd., bo to wszystko jest znane. Tylko tam otrzymaliśmy już pakiety i numery. Mój numer był 17072.

Tam przebywałem do 22-go lipca 44-go roku. W tym czasie, na pewnym apelu wybrano kilkadziesiąt osób, jeśli się nie mylę - to 50-u, między nimi i mnie i przetransportowano do obozu w Bunsau, czyli obecnie Bolesławiec na Dolnym Śląsku.

W tym obozie pracowałem przy składech drzewa - oczywiście już zupełnie wycieńczony tak zwany "muzulmanin".

Wyczekiwaliśmy albo śmierci, albo uwolnienia, ponieważ już było wiadome, że armia rosyjska się zbliża.

17-go stycznia zaczęto obóz ewakuować. Zebrano wszystkich i gnano dalej na Zachód. Ja zostałem między innymi, jako niezdolny do transportu. Dwa dni później wkroczyli Rosjanie i zostałem przez nich oswobodzony.

P: Czy w Bunsau byli więźniowie i innych narodowości i jaki był ich stosunek do Żydów?

O: W Bunsau pracowaliśmy przeważnie na placach z deskami i tam

nie było styczności z więźniami innych narodowości i nawet z Niemcami - to można było jakąś żywność zdobyć.

Byli tam też Francuzi i oni nam czasem pomagali, ale to były rzadkie wypadki, nie można było polegać na tym. Przypadkiem tylko mogliśmy się czasem spotkać poza pracy.

Dalsze koleje życia po oswobodzeniu z obozu

Po oswobodzeniu w Bunzlau wróciłem do mojej rodzinnej wioski.

Żyłem w oczekiwaniu, że ktoś się zjawi z rodziny, czy znajomych.

Dowiedziałem się, że siostra ze szwagrem i dziećmi zginęła w Oświęcimiu, dokąd została wywieziona z getta w Wadowicach. Akoja likwidacyjna odbyła się tam w 9 Aw (Tiszabaw) w 43-m roku.

Moja najmłodsza siostra została zabrana z getta Wadowie do jednego z kobiecych obozów w Sudetach i tam przeżyła wojnę. Mieszka obecnie w Kiriath Motakin.

Spotkaliśmy się 9-go czy 10-go maja 1945-go roku. Następnie wyjechaliśmy razem i zamieszkaliśmy w Bielsku.

W grudniu 1949 roku, po zamążpójściu siostra wyjechała do Izraela, a ja wyjechałem w styczniu 1950-go roku.

W Izraelu mieszkałem z siostrą. Dostałem pracę w fabryce porcelany Naaman i tam pracowałem do 1960-go roku. Ożeniłem się w 1954-m r.

Zgadzam się, żeby Jad Waszem
wykorzystał podany przeze mnie
materiał dla celów publikacji
i propagandy.